Rok I. Ostrów 29. Kwietnia 1888. **Nr. 18.**

POMOC

PISMO CZASOWE DLA MŁODZIEŻY I DOMU.

Pomoc wychodzi co Niedzielę w objętości 4—6 stron. — Prenumerata ćwierćroczna we wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych **tylko 80 fen.** Wprost pod opaską krzyżową 1 mk. 20 fen.

ANIELKA.

Mała i wcale ładna Anielka,
Była nieporządku zwolenniczka wielka;
I nic sobie nie robiła,
Gdy w kajecie kleks zrobiła,
Lub gdy obrus popryskała,
Choć plama była nie mała.
Raz znowu rękawiczki nowiutkie zgubiła,
Lub kapelusz z piórkiem w ciemny kąt rzuciła.
Tak, że zawsze coś szukała,
Narzekała i płakała.
Lecz gdy znów raz coś splamiła,
Tak jej mama pogroziła:
Wiesz Anielku, dość dobrego,
Dość już nabroiłaś złego,
I mówię ci dziś raz jeszcze,
Przyswój sobie słowa wieszcze:
Że porządek to pół życia,
A nie, to wyjmę z ukrycia —
Rózgę, bo dość już rzeczy nagubiłaś,
I dość już książek i sukien splamiłaś.
Więc uważaj, bądź rozsądną,
Nie plam, nie gub, bądź porządną.
Dzień jeden, to Anielka o tem pamiętała,
Lecz na drugi, to słowa mamy zapomniała,
I gdy z klasy powróciła,
To kapelusz w kąt wrzuciła;
A gdy na spacer iść miała,
Znów płakała i szukała.
Usłyszawszy o tem mama
Z straszną rózgą przyszła sama
I Anielkę ukarała,
Aby raz w porządku miała,
Swe kajety, swoje książki,
Rękawiczki, suknie, wstążki.
I odtąd się Anielka całkiem poprawiła,
Bo ani gubiła, ani też plamiła.
Więc i wy małe panienki,
Które nieporządkiem gniewacie mateńki,
Poprawcie się jak Anielka,
A będzie to dla mnie pociecha wielka.

Witold L.

W 25-tą rocznicę.

Ze wspomnień powstańca.

(Dokończenie).

Prosiliśmy go jeszcze aby nam przyniósł w manierki wody, bo i tej nam brakło. „Wody niepotrzeba moi panowie, bo zaraz o kilkaset kroków jest struga, a w około same trzęsawiska i błota. Wody ze strugi można się napić, a potem pójdziemy przez błota z których woda jest niezdrową. Pójdziemy przez same błota, nie głębiej jak powyżej kolan, ale za to będziemy bezpiecznymi, bo tam ani kozak, ani objeszczyk nie dojedzie, a sołdat nie znający drogi nie dojdzie.“

Zmówiliśmy przeto krótki pacierz i ruszyliśmy w imię Boże za przewodnikiem. Po kilkugodzinnym uciążliwym marszu stanęliśmy niedaleko wioski należącej do Idziego Szumana. Przewodnik nasz był dobrze informowany — zatrzymał nas w ogrodzie, a sam poszedł do dworu, prosząc dla nas o pożywienie i jeżeli można furmankę. Pan Szuman przyniósł nam chleba, sera, dwie kwarty wódki, lecz od furmanki się wymówił. Dwa półmiski chleba i sera spożyliśmy w kilka minut i ruszyliśmy dalej.

W następnej wsi poczęstowano nas herbatą i odesłano podwodą do Wturku. Była

to już 11. godzina w nocy. We dworze ciemno i głucho, furmanka już odjechała, przewodnikowi już zapłaciliśmy — ostatecznie zjawił się stróż czy włódarz i z pomocą jego najęliśmy nowego przewodnika, który miał nas zaprowadzić do leżącego o kilometr drogi, Siedlemina, wsi położonej już w W. Ks. Poznańskiem. Właściwie nie było już potrzeba przewodnika, bo resztki gasnących w Siedleminie świateł było widać. Nagle jednakże, zaledwie uszliśmy kilkadziesiąt kroków powstała tak gęsta mgła, iż jeden drugiego nie mógł dojrzeć. Z różnych stron dochodziło nas tylko szczekanie psów, — kilka razy rżenie koni, prawdopodobnie patrolujących nad granicą ułanów pruskich. Dość, że idąc przez zaorane pola, przez łąki, błota, około 4. z rana przewodnik nasz zwątpił i nie dopominając się o zapłatę umówionych 3 talarów, chciał nam drapnąć. Dognaliśmy go, związali ręce, odwiedli kurki od rewolwerów i zagrozili bezwłoczną śmiercią, gdyby nas śmiał opuścić lub wołać o pomoc. Nasłuchujemy szczekania psów — i za ich szczekaniem dobijamy do wioski odległej od granicy o 1½ mili. Budzimy chłopa w pierwszej zaraz chacie i ten dopiero zaprowadził nas do Siedlemina około godziny pół do szóstej.

Czeladź we dworze już zaczynała śniadać; — włódarz widząc zmarnowanych rozbitków, nie chcąc budzić swego chlebodawcy, zaprowadził nas nad oborę. Na wonnem sianie bylibyśmy spali do południa, gdyby nas około godziny dziewiątej nie był zbudził pan Preyss zaproszeniem na śniadanie.

Przy śniadaniu rozpytał się nas o nasze domowe stosunki i rozesłał czterema różnemi furmankami w różne strony. Organista dostał list polecający od księdza proboszcza do konfratrów, — Polaski pojechał do Wójcina, Marcinkowski i Grunwald w inną stronę, a Julek i ja przez własność Matczyńskiego, do Ostrowitego, własności Grossmanna, do Gniezna.

Tam dopiero dowiedzieliśmy się, iż Mielęckiemu i Callierowi, którzy pozostali jako ranni w Mikorzynie, zagraża niebezpieczeństwo życia. — Z ran tych Mielęcki, uwieziony następnie do Księstwa, umarł 9 lipca w Mamliczu, w powiecie Szubińskim. Callier natomiast, mimo iż cztery ciężkie otrzymał rany, wyzdrowiał i następnie mianowany pułkownikiem, dał się jeszcze nieraz Moskalom we znaki.

Miromir.

Dziedzina ojczysta.

Mnie wszystko tak cieszy, co swojskie, co nasze,
I ludzie mi drodzy i mili,
I nie wiem, co milsze nad swojskie poddasze,
Nad ptaka co w krzakach wciąż kwili,
Nad matkę co w białej len przędzie świetlicy,
Nad ziemię co zboże nam rodzi,
Nad gwiazdę co w czystej kąpie się krynicy,
Nad miesiąc co z lasu wychodzi.
I nie wiem co milsze nad ludzkie wejrzenie,
Co czystsze nad wodę przeczystą,
Co lepsze nad dobre u ludzi wspomnienie,
Co droższe nad ziemię ojczystą.

T. Lenartowicz.

Z czasów Kościuszki.

Powieść historyczna

napisał

Mieczysław z Poznania.

(Ciąg dalszy).

Trzeba wam było widzieć w tej chwili Kubę, jak się rozmachiwał kosą, a za każdem cięciem, gdy padł Moskal, powtarzał: „Baśka, to pierwszy — Baśka, to drugi — tak jak tobie moja Basineczku przysiągłem, najmniej dziesięci Mochów ci zatłukę.“

Przez sukmanę pot lał się, a nasz Kuba nie ustawał w pracy. Już dwa razy był lekko rannym i krew się lała i z czoła i z piersi, ale dopókąd sił starczyło, siekał kosą żołdactwo jakoby wśród żniwa kłosy.

Moskale widząc tę zajadłość kosynierów, struchleli z przestrachu — przeszło 600 z nich rzuciło broń i poddało się, reszta odbiegła swych armat i uciekła. To też 12 armat zabranych wtedy przyprowadził Głowacki Kościuszce.

Zmrok począł zapadać, gdy ta pierwsza, zwycięzka bitwa się skończyła. Niezmordowany Kościuszko ściskał Głowackiego, zrobił go oficerem; naszemu Kubie sam ranę omył

czystą wodą, kazał opatrzyć i ucałował w zranione czoło.

Z chłopów odznaczyli się w tej bitwie przedewszystkiem oprócz naszego Kuby, Głowacki, Świstacki, Gwiździcki, Duntowski, podchorąży i inni.

Nasz poeta, sławny Teofil Lenartowicz, takim wierszem opisuje ów początek powstania:

Nad obszarem, rankiem szarym, wschodzi jasna zorza,
Zorza wschodzi z poza świata, Kościuszko zza morza.
Ptak szczebiota, zorza złota pobudziła ptaki,
A Kościuszko woła ludzi, Krakowskie wieśniaki.
I było tam ludu wiele przed Panną Maryą,
Trąby grają, serca tają, straże w bębny biją.
A pośrodkiem z licem słodkiem, jak chłopek pośledni,
Polak dzielny, wódz naczelny, za nim ludzie biedni.
I stanął tam przed kościołem i zaprzysiągł Bogu,
Że nam wszystkie krzywdy nasze odbije na wrogu.
Podpisali Krakowiany, radne pany stare,
I chłopi się zapisali krzyżem na ofiarę.
I zadzwonił na Wawelu stary Zygmunt z wieży;
Niewstrzymany, rozmachany, głos po kraju bieży.
Rosa rosi, wiatr roznosi radość niepojętą,
Dzwon potężny, lud przysiężny, w Polsce wielkie święto.
Na wojenkę, kosę w rękę, kobiałka przez ramię,
A na piersi „w imię Ojca" przenajświętsze znamię.
I niech teraz deszcze leją, niechaj sypią grady,
Chłopi grzmocą, dniem i nocą, bo już nie masz rady.
Do Racławic ciągną nasi po cztery, po cztery,
Madaliński z ułanami, potem kosyniery.
Kosyniery naród szczery, chocto nie żołnierze,
Ale u nas wszystko żołnierz, co broń w rękę bierze.
Przyciągnęli przed kościółek, aż ksiądz stoi w progu,
„Mili bracia," rzekł Kościuszko, „pokłońmy się Bogu."
I pod ścianą malowaną ustawili kosy,
Jak ustawia dziecię w lecie złote zboża kłosy.

Po zwycięskiej bitwie pod Racławicami, udał się Kościuszko do Krakowa, dokąd nadeszła fałszywa wieść, rozniesiona przez uciekinierów, iż Kościuszko zabity.

Wśród bicia dzwonów wszystkich kościołów, wśród wiwatowych okrzyków i huku dział, wchodziło zwycięskie wojsko do Krakowa. Na czele Kościuszko w białej chłopskiej sukmanie a za nim kosynierzy. W jednym z pierwszych rzędów z obwiązaną głową Kubuś Sierota. Łagodne jego zwykle oko gorzało raz chciwym blaskiem, zdało się, iż prawie iskry padają z tego oka, a silną dłonią niesiona kosa, jakoby szukała nowego Moskala. Za chwilę gdy wspomniał sobie uroczą Baśkę, to oko jego łzą zachodziło. Mimowoli przychodził mu na myśl Jaśko Owczarek, — kto wie może teraz nakłonił Basię ku sobie, — może złamała dane słowo i woli bogacza.

Myśl o Basi, dla której więcej niż dziesięciu zabił Moskali, nie dawała mu spokojności, przed oczyma, czy na jawie, czy we śnie miał zawsze albo Baśkę, albo Janka Owczarka, albo też jakiego moskiewskiego sołdata, którego jej w ofierze zabijał.

Były to tylko przywidzenia Kuby, bo chociaż Janek w kilka tygodni rozpoczął na nowo zaglądać w śliczne oczęta Basi, chociaż jej przysłał swatów, to Basia wierna raz danemu słowu i gardząc takim, co mając zdrowie po temu nie szedł bronić ojczyzny, nie przyjęła swatów. Dziewczęta chciały ją namówić, by takiemu bogaczowi jak Jaśku Owczarek nie odpowiadała, lecz stanowcza Basia, lubo że stosunkowo znacznie biedniejsza, nie dała się nakłonić. Owszem namawiającym odpowiadała: „Niechaj wróci szczęśliwie z wojny o niepodległość naszej ojczyzny, niechaj potem powie, że wśród bitwy zabił chociażby jednego Moskala, to niech się żeni z którą chce. Ja już Kubie przyrzekłam i wiary mu dotrzymam."

Z razu śmiały się dziewczęta z rezolutnej odpowiedzi Baśki — przekładały jej, iż Jaśku dobrym jest Polakiem, bo gdyby nie on, to Rzędowiczan byłby kramarz z pomocą wojska pochwycił, lecz ostatecznie umiała je Basia przekonać, że każdy musi swój obowiązek względem ojczyzny zupełnie wypełnić. „Nie dosyć jest, mówiła Basia, spokojnie się przyglądać co inni robią, ale i samemu ręki trzeba przyłożyć. Gdy dom sąsiada goreje ogniem, nie dość powiedzieć, u mnie jest wody dostatek, lecz trzeba samemu wodę znosić, ogień zalewać. Zresztą Kubie będę wierną, bo on, jestem przekonaną, najmniej pięciu zabije Moskali."

Drwiły z niej dziewczęta, że Kubuś nie wróci, a jeźli to chyba kaleka; lecz drwiny nic nie pomogły. Przeciwnie — Basia z razu wyśmiewana, zyskiwała swoją stałością coraz większe koło zwolenniczek — nieomal wszystkie dziewczęta patrzyły się na Basię, jakby na jaką królewnę, wszystko by dla niej były rade zrobić, a ugniewać Jaśka. To też pewnego wieczora przybiły Jankowi na drzwiach jego domu skórkę zajęczą, pęk przędziwa i wiązkę konopi i to bez wiedzy Basi.

Z rana Jaśko zobaczył, iż ktoś go obdarował oznaką tchórzostwa, to jest skórką zajęczą; że go przeznaczył do babińca, dając

pęk przędziwa i wreszcie pozostawił małą wiązkę konopi, by może z nich skręcił powróz do powieszenia.

Dumny bogacz struchlał, zobaczywszy to — nieśmiał zrzucić tych znaków ochydy ze drzwi, wrócił do izby. Chciał płakać, lecz łez nie stało, tak wielką była boleść w skutek obrażonej dumy — lecz kogoż winić? — jedna tylko harda Baśka mogła była to zrobić!

Szalony gniewem i chęcią zemsty, wybiegł gdzie stała Basina chata. Szczęściem nie było jej w domu, ona w polu z innemi dziewczętami już przy robocie. Zdyszany, z okiem rozpalonem złością pobiegł na pole — zobaczywszy Basię, rzucił się na nią, zaledwie dwa razy ją uderzył, gdy go pochwycił za kołnierz ekonom i począł okładać bizunem.

Śmiały się dziewczęta i cieszyły, jedna Baśka broniła go, chyląc się do nóg ekonoma, a wstrzymując mu ręce.

Dobre to było dziewczę, chociaż nie lubiła Janka, chociaż nie przyjęła jego swatów, chociaż była wierną Kubusiowi, chociaż ją Janek poterał, to jednak darowała własną krzywdę, a broniła bliźniego.

Później dopiero, gdy Jaśku wyzwolony za jej pomocą uwolnił się z żelaznej ręki ekonoma i dał drapaka, dowiedziała się o figlu dziewcząt. Śmiała się razem z niemi z tego wypadku, chociaż bolały ją dwa sińce od uderzenia Jaśkowego.

Dłużej nie mógł teraz wytrzymać Jaśku w swym domu. Zrzucił po powrocie te ohydne oznaki; ukląkł przed obrazem Najświętszej Panny i płacząc, błagał tej Przeczystej Orędowniczki, by go oświeciła co ma robić, by mu męstwa dodała.

Modlitwa była szczerą, gorącą; a Królowa Polski, Matka Boża, takie modły zawsze wysłucha. Przeszło godzinę łkając łzy własne, korzył się Janek przed tą Opiekunką naszą. Zmęczony, zbiedniały, wstał od tej modlitwy, ale czuł się pocieszonym, odmienionym.

Nie mówiąc wiele, wyprowadził ze stajni konika, ucałował ręce i nogi swej starej matce, mówiąc: „Matko, zostawiam waszej pieczy chudobę — sam pójdę, gdzie są nasi — teraz się nie lękam kul moskiewskich.“

Stara Owczarkowa zdziwiła się tak nagłem postanowieniem syna — radaby była zatrzymać jedynaka, lecz ucieszona, że syn jej nie gorszy niż inni, rozpłakała się tylko i błogosławiła.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KUROPATWA.

Kuropatwa należy do klasy kur, a do rodziny głuszców. Jest ona 30 cm długa, a przy rozpostartych skrzydłach mierzy 50 - 55 cm. Pierze ma na wierzchu brunatne pod spodem brunatno-marmurkowate. Samiec odznacza się tem od samicy, że na piersiach nosi znak z ciemniejszego pierza nakształt podkowy. Dziób kuropatwy jest krótki, zaokrąglony. Nogi i skrzydła są krótkie. Ogon składa się z 14—18 piór.

Ojczyzną jej jest cała środkowa Europa i część środkowej Azyi. Najchętniej przebywa w miejscowościach żyznych, gdzie są pagórki i zarośla. Na zimę zostaje u nas, a jeżeli wielkie śniegi spadną, zbliża się do mieszkań ludzkich.

Kuropatwa rozradza się bardzo szybko. Samiczka składa do gniazda t. j. dołka wysłanego sianem, 10—17 zielono-popielatych jajek, które do 3 tygodni wysiaduje. Podczas wysiadywania siedzi samiec opodal i zawiadamia samicę o każdem zbliżającem się niebezpieczeństwie. O młode troszczy się bardzo i broni je przed nieprzyjacielem.

Pokarmem ich w lecie są wszelkie rośliny i ziarnka, zimą zaś, na miejscach z śniegu obnażonych, zjadają wierzchołki roślin, mianowicie oźminy. W czasie srogiej zimy kopią sobie w śniegu nory i w nich się kryją.

Zmysły kuropatwy są bardzo wydoskonalone. Umie rozróżnić nieprzyjaciela od przyjaciela i okazuje w dość częstych razach niepospolity rozum i przebiegłość.

Stare z młodemi pozostają aż do wiosny razem. Na wiosnę parzą się i pozostają w ścisłej zgodzie.

Lot kuropatwy jest słaby. Wzbiwszy się raz z wielką trudnością do góry, leci wytrwale, częściej biega po ziemi.

Nieprzyjacielem kuropatw są lisy, kuny, tchórze i t. d., które w jajach i pisklętach wielką czynią im szkodę.

Dla bardzo smacznego mięsa polują na nie z wyżłem. W zbożach szkody nie robi,

albowiem tylko ziarnka leżące na ziemi zbierają, a są użyteczne, bo bardzo wiele robaków i chrząszczy spożywają.

Kiryło.

Młodość nie wróci.

Powiastka.

Była noc zimna, mroźna. Gwiazdki iskrzyły się na niebios firmamencie, mrugały do siebie złotemi oczkami, a księżyc sypał srebrem na ziemię a sypał....

Ulice odległego przedmieścia były puste — ale w oknach wszystkich domów widzimy światło, a w mieszkaniach panuje ruch i jakaś wesołość. To wigilia Bożego Narodzenia....

W tem zjawił się na ulicy jakiś przechodzień. Smutny widok! Twarz tego człowieka jeszcze niestara, ale wychudla, pomięta, włosy w nieładzie. Odzienie na nim podarte, liche, nie mogące ochronić go dostatecznie od zimna; drżał cały. Skulony, pogarbiony, chwiejnym krokiem posuwał się naprzód. To pewnie jakiś bardzo nieszczęśliwy człowiek! Idzie powoli, a przed każdym prawie domem stanie, popatrzy w okna, westchnie głęboko, boleśnie — i znowu dalej posuwa swe kroki. Już przeszedł całą ulicę wspomnianego przedmieścia, przy ostatnim domku zatrzymał się.

Domek to nie duży, ale biały, schludny; z okien jego rzęsiste pada na ulicę światło. Nieznajomy przechodzień wlepił wzrok nieruchomie w jarzące się okna. W izbie panuje wesołość. Cała rodzina mieszkająca w tym domu ma twarz szczęściem osutą. W izbie ciepłej bawią się dzieci, skaczą około jarzącego się drzewka, ustrojonego w złocone orzeszki, pierniki, jabłuszka i wiele innych przysmaczków. Co za radość na obliczach dzieci!

Widzi to wszystko nieznajomy, twarz jego ożywiła się, wyprostował się.... ale wnet opuścił głowę naprzód, a westchnienie bardzo smutne wydobyło się z piersi jego i wyrzekł: „O Boże — i ja byłem niegdyś tak szczęśliwy!“

I zadumał się ów biedak... marzeniem, ale przykrem, rozpoił duszę swoję....

„I ja byłem, tak szczęśliwem dzieckiem, przy boku ojca i matki, dumał biedny przechodzień — ale już wszystko minęło. Dziś jestem ostatnim nędzarzem, bez rodziny — bez dachu — bez kawałka chleba!... Rodzice moi mieszkali w tym domku, a ja byłem ich jedynakiem. Kochali mię bardzo — bardzo — alem ja był ich miłości niegodzien — byłem niedobrem dzieckiem. Nie słuchałem ich, nie szanowałem: złymi postępkami krwawiłem ich serce. O! pamiętam, pamiętam, jak nieraz moja matka ze łzą w oku prosiła mię, abym się uczył, pracował ale ja się śmiałem tylko z tego. Nie myślałem o przyszłości. Kościół i szkoła była dla mnie najnieznośniejsze; modlić się, uczyć i pracować nie chciałem nigdy — wolałem bawić się, biegać, dokuczać ludziom i zwierzętom.... a dni mojej młodości upłynęły szybko! O, moja młodości, gdybyś się jeszcze powróciła! Lecz przepadło, dumał dalej nieszczęśliwy człowiek, młodość już nie wróci!

Rodzice moi umarli ze zmartwienia i zgryzoty; sam jeden pozostałem w tym domku, byłem jego właścicielem. O! stoi mi w myśli owa uroczysta chwila, kiedy ojciec błogosławiąc mi na łożu śmiertelnem mówił: „Dziecię moje, zatrułeś dni żywota naszego. Matka twa już w niebie — ja się do niej przenoszę w tej chwili — a ty sam zostaniesz — sam jeden na ziemi! Jeżeli będziesz żył cnotliwie i w pracy, Pan Bóg cię nie opuści. My się tam za ciebie modlić będziemy — ale popraw się dziecię moje... inaczej będziesz nieszczęśliwym na świecie. Pamiętaj ostatnie słowa moje, z którymi ci wszystko przebaczam i błogosławię....

Dalsze dumania owego biedaka przerwał turkot przejeżdżającego ulicą wózka. Wstrząsł się cały — mróz owładnął wszystkie członki jego. Chciał postąpić ku drzwiom tego domu, ale się wstrzymał.

I pocóż ja tam pójdę nieszczęśliwy człowiek? myślał dalej — przerywać spokój i radość tym ludziom? Przecież ja miałem tu żyć szczęśliwie. Odziedziczyłem po rodzicach ten domek i kawałek gruntu, mogłem przy pracy i oszczędności być tutaj szczęśliwy jak inni. Ale ja zapomniałem nawet na ostatnie słowa umierającego ojca! Wdałem się w towarzystwa złych i zepsutych ludzi — z nimi się wesoło zabawiłem, trwoniąc to, co mi ojciec pozostawił. Wnet straciłem spuściznę ojcowską... i zostałem... żebra-

kiem! Ci, co dawniej mi schlebiali, odsunęli się odemnie, jako od głupca — śmiali się z mego nieszczęścia. Przypomniałem sobie wtedy rady i przestrogi rodzicielskie i dobrych ludzi, ale było już zapóźno! Cóż miałem czynić? w głowie pustki — ręce nie nauczyły się również niczego... poznałem okropność swego położenia ale poniewczasie. Wzdychałem do młodych lat swoich — ale lata dziecięce uleciały i już nie wrócą nigdy... I tak się błąkam — ludzie ze mnie szydzą, pogardzają mną jako włóczęgą i próżniakiem, obawiają się mnie jako złego człowieka — ach! jak to boleśnie! O Boże gdybyś mi raczył powrócić lata młodości mojej, byłbym najlepszym na świecie człowiekiem. O, powróć się młodości moja — zawołał ów nieszczęśliwy skostniałemi usty... ale młodość nie wróciła, a on omdlały i osłabiony upadł na ziemię twardą....

* * *

Stróż nocny napotkał wkrótce nieszczęśliwego. Przywołano go do życia, ale tylko na tak długo, aby się mógł z Panem Bogiem pojednać. Wszechmocny wysłuchał biednego i uwolnił go od dalszych cierpień.

Franciszek Marzec.

ZDANIA MORALNE.

Kto ma mało potrzeb, ma wiele swobody,
Dobrze o tem wiedzieć, dopóki człek młody.

Choćby twe zadania bardzo trudne były,
Weź się do nich raźno, przybędzie ci siły.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Kaziowi z nad Noteci. Warszawa i Kraków leżą nad Wisłą, Poznań nad Wartą. —

Cyganeczce. Księżyc, a miesiąc to to samo, lecz miesiąc, a miesiąc to różnica. Miesiąc może być przezwiskiem księżyca, lecz może też oznaczać 4 tygodnie czasu. Miesięcy mamy 12 w roku. Pierwszym jest Styczeń, ostatnim Grudzień.

Jagódce. List starannie napisany bardzo ucieszył „Pomoc,“ bo widoczne, że Jagódka pilnie się uczy gramatyki i ortografii, kiedy tak dobrze pisze.

Gabrysiowi F...: Winszujemy promocyi i dajemy dobrą radę nie ustawać w pracy.

Panu C. F. Cesarzowa Victoria była w poniedziałek w Poznaniu, a nie w niedzielę.

Wydawca i redaktor Mieczysław Leitgeber w Ostrowie. — Drukiem J. B. Langiego w Gnieźnie.